Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 36. Poznań, dnia 2. Grudnia. **1839.**

Literatura zagraniczna.

O r c o.

Z Maitres Mosaistes par George Sand.

(Opowiadanie kobiety.)

(Dokończenie.)

Skończywszy śpiew, upuściła gitarę, która spadłszy na posadzkę, dźwięk żałobny wydała. W tém zegar bić zaczął; wszyscy w milczeniu ponurém słuchali jego dwanastu uderzeń. Nareszcie pan pałacu przystąpił do nieznajoméj z twarzą na pół przestraszoną, na pół rozgniewaną: »Pani,« rzekł, »komu winienem zaszczyt widzenia jéj u siebie?« — »Mnie!« zawołał hrabia, przystępując, »a jeżeli kto ma coś przeciwko temu, niechaj się odzywa!« — Nieznajoma, która zdawała się niezważać na pytanie gospodarza, żywo podniosła głowę, usłyszawszy głos hrabiego. »Żyję!« zawołała z uniesieniem, »i żyć będę!« — obróciła się ku niemu z twarzą rozjaśnioną; lecz gdy go ujrzała, lica jéj zbladły i czoło posępna osiadła chmura. »Na cóż wziąłeś to przebranie?« rzekła mu głosem surowym, wskazując na mundur. — »To nie jest przebranie,« rzekł, »to jest....« niemógł nic więcéj wyrzec; wzrok nieznajoméj wskroś go przeszył; — w milczeniu kilka sekund na niego patrzała, a potém dwie łzy spłynęły z jéj pięknych oczów. Hrabia ku niéj się chciał rzucić; lecz ona nie dozwoliła. — »Idź za mną!« rzekła stłumionym głosem i zniknęła w zdziwionym tłumie, a za nią hrabia.

Wyszedłszy udała się do gondoły i wskazała hrabiemu, aby obok niéj usiadł. Uczynił to, pytając się: »Któż nas powiezie?« — »Ja!« rzekła, ręką silną za wiosło chwytając. — »Pozwól mnie raczéj!« — »Nie, ręce austryackie nie umieją kierować wiosłem weneckiém.« — Dała silny pęd gondoli, a ta jak strzała popłynęła kanałem. — Hrabia spodziewając się wytłumaczenia jéj gniewu, niespokojny był jéj milczeniem. — »Dokądże jedziemy?« rzekł po chwili. — »Tam, gdzie los chce, żebyśmy płynęli!« odrzekła ponurym głosem, i jak gdyby słowa te na nowo jéj gniew wzbudziły, coraz mocniéj wiosłem robić zaczęła. Posłuszna gondoła nie płynęła, ale raczéj zdawała się przelatywać nad wodą. — Hrabia z zadziwieniem spoglądał na odurzającą szybkość, z jaką piana ocierała brzegi łodzi i jak okręty, które się na ich drodze znajdowały, uciekały pędem w tył, jakby obłoki szturmem porwane. — Wkrótce ciemność większa, wiatr przeraźliwie huczy, a młodzieniec nie słyszy nic więcéj, jak tylko chlupotanie bałwanów i poświsty wiatrów, a nic przed sobą niewidzi, jak tylko postać swéj towarzyszki. Ona stoi przy sterze, ręce ma oparte na wiośle, włosy rozpuszczone na ramionach, jéj białe suknie wiatrem miotane; niepodobna już do kobiety z balu, ale raczéj do ducha nawałnicy, co igra z bałwanami. — »Gdzież jesteśmy?« zakrzyknął hrabia głosem bojaźń zwiastującym. — »Kapitan się lęka!« rzekła z pogardliwym śmiechem. — Hrabia nic nie odpowiedział; czuł, że go strach przejmuje, niemógł go powściągnąć, — wolał milczeć. Nareszcie uniesiony, jakby szałem idzie ku nieznajoméj. — »Usiądź!« krzyknęła. — Hrabia, którego strach w wściekłość wprawiał, niesłuchał rozkazu. »Usiądź!« krzyknęła piorunującym głosem; a widząc, że się zbliża, uderzyła nogą z taką gwałtownością, że łódź się zachwiała. Hrabia wywrócił się w głąb łodzi i zemdlał. Przyszedłszy do siebie, spostrzegł nieznajomą u swych nóg we łzach tonącą. — Wzruszony jéj boleścią, a zapomniawszy na chwilę wszystko, co się stało, ujął ją w swoje objęcia, podniósł i posadził obok siebie. — »O moja kochanko!« zawołał, przycisnąwszy ją do serca: »dla czegóż te łzy?« — »Lew! lew!« odrzekła, wyciągając ku niebu białą jak marmur ręką. — Hrabia rzucił wzrokiem w stronę, którą wskazywała i w saméj rzeczy ujrzał konstellacyą Lwa, błyszczącą samotnie śród obłoków. — »Mniejsza o to! gwiazdy nie wpływają wcale na nasze losy, a gdyby wpływać miały, to mamy nad sobą gwiazdy przyjazne, których pomocą nieprzyjazne zwalczymy. Obok Lwa błyszczy Wenus!« —

»Wenus zaszła niestety! a Lew się podnosi. A tam! patrzaj tam! któż zdoła walczyć przeciw temu, co nadchodzi?« Wymówiła słowa te jakby w obłąkaniu, wskazując na horyzont. — Hrabia spojrzał i zoczył punkt czarny, który się odcieniał na ognistéj łunie. — »Cóż to jest?« zawołał mocno zdziwiony. — »Jestto los,« — rzekła — »który przychodzi po swoją ofiarę. Spytasz się jaką? Tę, którą zechce. Słyszałeś pewnie o tych młodzieńcach z szlachty austryaskiéj, którzy wsiedli ze mną w gondolę i już więcéj się nie ukazali.« — »Słyszałem; ale to powieść fałszywa.« — »Prawdziwa. Muszę zgładzić, albo muszę sama być zgładzona. Każdy mąż twego narodu, którego ja niekocham, a który mnie kocha, ginie; i póki którego nie pokocham, żyć i zgładzać będę; jeżeli zaś którego pokocham, umrę. To mój los!« — »O mój Boże! któż ty jesteś?« — »Jakżeż prędko dąży!« odrzekła, »Za minutę wpadnie na nas! Słyszyszże? słyszysz?« — Czarny punkt z nieporównaną szybkością zbliżał się i przybrał kształt wielkiego statku. Czerwone światło otaczało go ze wszech stron; mary ogromne stały nieporuszone na pokładzie i mnóstwo wioseł biło w takt bałwany z ponurym szelestem; głosy grobowe śpiewały straszliwe *Dies irae*, towarzysząc sobie brzękiem kajdan. — »O życie! życie!« zawołała nieznajoma z rozpaczą: »O mój drogi! widziszże okręt? poznajesz go?« — »Drżę cały przed tém okropném zjawiskiem, ale go nie poznaję.« — »Jestto Bucentaur; onto zatopił twoich rodaków. Byli tu oni na tém samém miejscu, o téj saméj godzinie siedzieli obok mnie w gondoli, a statek się zbliżał, jak się teraz zbliża. Głos wołał na mnie: kto idzie? odpowiadałam: Austrya. Głos się spytał: kochaszże lub nienawidzisz? odrzekłam: nienawidzę! a głos się odezwał: żyj! Potém okręt przeszedł przez gondolę, zatopił twych rodaków, a mnie uniósł w tryumfie nad bałwany.« — »A dzisiaj?« spytał młodzieniec. — »Niestety!« głos zacznie mówić. W istocie głos ponury i uroczysty, nakazując milczenie okrętowéj załodze zawołał: »kto idzie?« — »Austrya!« odrzekł drżący głos nieznajoméj. — Chór przekleństw zagrzmiał na Bucentaurze. Potém znów milczenie i głos się pytał: »Kochasz, czy nienawidzisz?« — Nieznajoma chwilę się wahała; nareszcie mocnym głosem zawołała: »Kocham!« — »Dopełniłaś twego przeznaczenia: kochasz Austryą! umieraj Wenecyo!« —

Krzyk rozdzierający, krzyk rozpaczy przeciął powietrze. — Hrabiego pokryły bałwany. — Wypłynąwszy po chwili na wierzch, już niewidział ani gondoły, ani Bucentaura, ani kochanki. Na horyzoncie błyszczały tylko małe światełka; byłyto pochodnie rybaków w Murano. Popłynął ku téj stronie i w godzinę stanął na ich wyspie. — Biedna Wenecyo! —

Nie słyszeliście nigdy, kto był Orco; jestto Trilby wenecki! Nie spotkaliście go nigdy na brzegach morskich, albo w kościołach? — Jestto dobry duch; nikomu krzywdy niewyrządzi, tylko ciemiężcom i zdrajcom. Jestto prawdziwy opiekuńczy duch Wenecyi. — Wicekról, dowiedziawszy się o straszliwéj przygodzie hrabiego Lichtensteina, prosił patryarchę, żeby na wybrzeżach zrobił wielki exorcyzm; — od tego czasu Orco się nie pokazuje. *W. W.*

Literatura krajowa.

Poezya.

Himn orłów.

Hej! bracia orły do lotu
Na świata brudnego końce,
Przed nami góry — olbrzymy,
Przed nami czernią chmur dymy,
Hej! bracia orły do lotu,
Przed nami słońce!

Kto ulągł się u skał szczytów,
Temu świat cały jest drogą,
Kolebką — morze błękitów,
Łożem — posłanie z granitów
Temu świat cały jest drogą,
Kto ulągł się u skał szczytów!

Hej! skrzydła roztoczmy obie
Na świata czworakie wiatry;
Z odważną piersią w zasobie
Odbądźmy przegląd po globie;
Kolebką były nam Tatry,
Z nich skrzydła roztoczmy obie!

Oczami — jak błyskawicą,
Ścigajmy zdobycz z wysoka;
A co wypatrzym źrenicą,
Niechaj wnet szpony pochwycą;
Odwagą bystrego oka
Przestraszmy, jak błyskawicą!

Jastrzębi, sokołów stada
W naszéj ojczyznie plądrują,
Wiatr, zanim skona noc blada,
Z szumem się skrzydeł rozgada;
I nasze szpony poczują
Jastrzębi, sokołów stada!

Tam, kruków czernie przeklęte
Na trupy żerować biegną,

Lecz tych wspomnienie jest święte,
Ciała szanowne, nietknięte,
Co walcząc za kraj, polegną;
Rozpędźmy czernie przeklęte!....

Ha!.. jeszcze burza szalona
Piorunem w oczy nam błyszczy,
Sił popróbójmy — niech ona,
Choć straszna grzmotami, skona,
Swéj piersi żarem się niszczy,
I pierzcha burza szalona!

Hej! bracia orły do lotu,
Choć czyste już świata końce,
Chociaż go podłość niegniecie,
Lecz jeszcze zimno na świecie;
Hej! bracia orły do lotu,
Przed nami pali się słońce!

E. W.

Tadeusz Czacki i Krzemieniec.

Wypadki wojny 1809 przeniosły niespodzianie piszącego, z Galicyi wraz z Tarnopolskim obwodem pod panowanie rossyjskie. Chcąc korzystać z otworzonéj przed kilką laty, a już głośnéj szkoły w Krzemieńcu, wysłano mnie tu ze Lwowa, właśnie w wieku, w którym pobyt w większém mieście coraz niebezpieczniejszym się stawał, a czas do korzystania z nauk był najsposobniejszy. Jechałem więc z wesołego Lwowa, gdzie się wiek młody przeskakało, gdzie związki młodocianéj przyjaźni i krewnych rzucać przyszło, do miejsca sobie z odgłosu tylko znanego, nie bez żalu i westchnień. Obawa wydania się nieukiem, niemało przymnażała goryczy. Przebywszy piękne Tarnopola okolice, ujrzałem nakoniec bielejące się mury zamku Krzemienieckiego, niegdyś siedlisko Skirgełły, które jeszcze dobrze zachowane wisiały nad miasteczkiem w wąwozie kryjącém się. W tym pokazał się kościołek czarny starożytnością i pod samą górą stojący, do którego jak podanie niesie królowa Bona po moście skórzanym z owego zamku schodziła; był to kościół O O. Franciszkanów, przez Firlejów czy przez samą królowę Bonę założony; bo w nim wisiał portret téj królowéj w czarnych szatach z białą kryzą, zupełnie podobny, może kopia tego, który w Krakowie nad kaplicą Zygmuntowską wisi, a niesłusznie za portret królowéj Anny jéj córki jest poczytany. Spojrzawszy na przeciwną stronę, ujrzałem wesołe mury, a za niemi od szkieł treibhauzowych zachodzącego słońca promienie odbite, rozrzucały przeraźliwe światło na zacienione zakąty tego wiejskiego miasta. Spuściwszy się z dość stroméj w stanie natury zostawionéj drogi, w ten padół, nie płaczu, ale oświaty i nauk, wjechałem między tłumy brodatych Izraelitów, którzy tu, jak we wszystkich niegdyś miastach polskich, z azyatycką cierpliwością czyhają na zyski i mają się za skrzywdzonych, kiedy kogo oszukać niemogą. Kto niebył na Zarwańskiéj ulicy we Lwowie lub w Wołyńskich miastach, niepotrafi sobie wyobrazić zuchwałości tego brudnego plemienia. Jedni łapią konie za cugle, drudzy krzyczą na woźnicę: »stój! stój! tędy zajeżdżaj, nu co to, jaki ty głupi, ten pan dawno znajomy, zawsze do mnie zajeżdża,« inni pejsatą głowę wsadzają do bryczki z oświadczeniem, że są faktorami, udają znajomych, inni znowu ofiarują na przedaż towary, śmieją się, wrzeszczą, a czasem się pobiją, a tym czasem biedny podróżny zagłuszony, zakrzyczany, co krok wstrzymywany, ledwo się opędzić może od téj natrętnéj i swawolnéj zgrai. Wyłazimy nakoniec z bryczki w błoto po kolana do owéj zachwalonéj karczmy niskiéj, drewnianéj, z okienkami obrzuconemi błotem, którém przejeżdżające powozy całą facyatę domu obryzgają, — wewnątrz izdebka pusta ze spróchniałém łóżkiem o trzech nogach i jednym stołkiem, który spocząć nigdy nie może. Podłoga w kilku miejscach wygniła, ściany świeżo bielone, w piecu trzeszczy surowe drzewo, pełno swądu, a przez rozpadlinę piecową widać osmolonego stróża na wpół pijanego, który szczypek dokłada i sam dmucha, co mu tchu staje; czasami tylko odgryza się gospodyni, tłustéj żydowce, która łaje goja, czemu pierwéj w piecu niezapalił. Drzwi trudno zamknąć i dla swądu i dla tego, że nieprzystają, i dla cisnących się żydów, z których każdy co innego ma powiedzieć, a żadnego słowy pozbyć się niepodobna. Pytamy o traktyernią; niemasz żadnéj; ale żydówka ofiaruje się zgotować rosołu z lokszynami, i obiecuje, że to wnet będzie. Pocieszony nieco tą obietnicą wychodzę na miasto.

Jeszcze było słońce nie zaszło, pobiegłem więc prędko na wzgórek, aby się bliżéj przypatrzeć tym murom, w których muzy słowiańskie nowy sobie obrały przybytek. Przed kościołem na wyniosłém i wesołém stojącém miejscu idzie galerya z ciosowego kamienia, we środku posąg kamienny N. Panny. Tłumy rzeskiéj, zgrabnéj i wesołéj młodzieży grały w piłkę, w jednéj zaś kupie grającéj w ściankę, postrzegłem człowieka, który tylko żwawém uwijaniem się przypominał młodego. Na głowie miał biały składany kapelusz, od którego szedł maleńki harcap. Gdy mu ten kapelusik na ziemię upadł, ujrzałem łysinę pudrem przykrytą, męża już dojrzałego, oczy przymrużone, nos orli, twarz szlachetną, wesołość i dobroć po wszystkich rozlana rysach, smutek gdzieś tak się ukrywał i tłumił w głębi duszy, iż rzekłbyś, że ten człowiek nigdy smutnych chwil nie przeżył, a przecież ..... cokolwiek bądź gonił za piłką,

uwijał się i bawił z taką serdecznością, tak zapamiętale, jakby to było jedyną życia jego rozkoszą. Ten mąż bawiący się piłką z młodzieżą był Tadeusz Czacki. — Zamiast więc, jak sobie wyobraziłem pedagoga, który o łacińskiem gada czasowaniu a straszy rózgą, ujrzałem człowieka, który mając wielki majątek, gwiazdę Orła białego i Św. Stanisława, słynął z rozległéj nauki, pisał książki, których współcześni ocenić nawet nieumieli, udawał pedanta, wychowaniem młodzieży zajmował się, żył z młodzieżą, bawił się z nią, był jéj poufałym przyjacielem i ojcem.

Zjadłszy rosoł z łokszynami, które żydówka i cała połowa żeńska jéj rodziny ledwie po godzinie jedenastéj gotować ukończyła, przechodziłem myślą widziane w tak krótkim czasie niespodziane rzeczy i dziwne sprzeczności. — Krzemieniec albowiem składał się z dwóch oddzielnych w niczém do siebie niepodobnych części. Na dole nad potokiem, który płynął, kiedy miał wodę, a czasem nawet wylewał z brzegów, było miasto żydowskie; istna Palestyna, brudy, niechlujstwo i błoto, obłuda faryzeuszów i duch sektarski Chassymitów. Na górze zaś wieś, podobna trochę do Karlsbadu, ale wieś osiedlona przez ludzi światłych, uczonych, majętnych, a nawet bogaczów. W niepozornych dworkach, w szczupłych i niskich pokojkach bez sufitów, natrafiałeś z podziwieniem na spółeczeństwo, które polorem, światłem i znaczeniem mogło być i bywało niegdyś ozdobą i duszą stolicy. Panowie wracając z cudzoziemskich krajów, z Paryża, wstępywali chętnie do téj nędznéj mieściny, i tu godne siebie i zajmujące znajdywali spółeczeństwo. Książę Franciszek Sapieha, ten co w kołysce już był generałem artylleryi polskiéj, z Neapolu lub Makaryewa wracając, zawsze wypoczywał w Krzemieńcu. Tu jak w panorama jakiém znakomite i ciekawe przewijały się osoby. Tu Kołłątaj przed 1812 przesiadywał i wciskał się do Czackiego zaufania, który go w głębi duszy nie lubił a może się lękał. Tu Jan Potocki dumnie stąpał, patrzał z piętra na ród ludzki, i swoje przedpotopowe chronologie drukował. Tu widziałeś Wacława Rzewuskiego, który jadł i spał przy koniu arabskim, nosił się po czerkiesku, czytał z koranu, ściany arabskiemi wężykami popisał, tylko wodą i fajką gości częstował, na spadzistą górę zamkową konno sobie jeździł, a zakreśliwszy na kuli ziemskiéj trojkąt, zapytywał na próżno uczonych, jakie tu narody w III. wieku ery chrześciańskiéj tułały się; tymczasem ciskał dzirytem, komponował arye i patrzył w pulares, gdzie obok miniatury żony miniaturę klaczy swojéj trzymał. — Tu Katalani śpiewała, Lipiński odbierał oklaski, a Niemcewicz płakał, gdy wchodzącemu na bal, za szumnym Dniestrem na Cecorskim polu, niespodzianie zaśpiewano. Tu generał Krupiński Puławskiego spółeczeństwa wesołe chwile opowiadał. Tu Feliński bystry, dowcipny, rozumny, w którym więcéj było czucia i poezyi, niż w jego książkach i rymach, opisywał chwile pobytu swego w obozie Kościuszki. Tu Rudzki Franciszek opowiadał wypadki ostatniego sejmu Grodzieńskiego, na który sam patrzył. Tu bogaty i we troje zgięty hrabia Moszyński, z dyamentowemi guzikami, spotykał się z młodym Mniszkiem krewnym carowéj Maryny. Tu książe Adam Czartoryski wstępował, przejeżdżając z Petersburga do Puław, a Czacki jego bytność złotemi literami na marmurze wyryć rozkazał. Tu pochylony ku ziemi choć wcale niestary Aloizy Osiński czytał Skargę i Seklucyana, grał na skrzypcach za parawanem, słuchał nowin o przyszłém biskupstwie, i opowiadał z radością, że księżna S... chwaliła jego piękne oczy, pisał słownik i użalał się, że mu worek z literą F. gdzieś zaginął; a przywieziony sobie z Rzymu order ostrogi przez Izydora Sobańskiego ze spuszczonemi przyjmował oczyma. — Ministrowie i panowie rossyjscy z ciekawością, to głośne miejsce z Petersburga zwiedzali. Minister Zawadzki Krzemieniec Atenami nazywał; Koczubéj, mąż światły i zacny, patrząc na nikczemne miasteczko, wzruszał ramiona, ale zakłady naukowe, gabinet numizmatów z 18,000 sztuk złożony, bibliotekę 50,000 ksiąg liczącą, z podziwieniem oglądał, a stanąwszy przed popiersiem Czackiego, długo się z upodobaniem w rysy jego wpatrzywszy, wyrzekł te pamiętne słowa: »Takiego drugiego nie zaraz mieć będziecie.« Tu nawet Hudson Lowe, jadąc na gubernatora do Ceylanu, przewinął się. Jeden tylko poseł angielski jadący z Persyi, gdy dla naprawy złamanego powozu zatrzymał się przez półtora dnia w Krzemieńcu, a nudzącemu się w brudnéj karczmie żydowskiéj, ktoś powiedział, że tu jest sławna szkoła, gabinety i biblioteka godne widzenia, odpowiedział z gniewem: »Co tutaj, w tak nędznéj mieścinie!« i nic niewidziawszy odjechał. Dumny Anglik wychowany w pałacach Oxfordskich, które tam kollegiami się zowią, niemógł uwierzyć, aby muzy polskie pod tak skromną tuliły się strzechą.

(Dokończenie nastąpi.)

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,

Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

Przyszedł pan kasztelan Kijowski ze starościcem Zakroczymskim, swoim synowcem, i skłoniwszy się

rzekł: »Panie hetmanie, przypominam Waszmość panu i bratu, mego synowca Jana Czarnieckiego, proszę go kochać, jak mnie; choć trochę pobroił tym pojedynkiem, pokarałem go należycie; jest nadzieja, że się poprawi, bo młody.« — »Panie Stefanie, bardzo mi miło, widzieć twego synowca; pamiętam go dobrze, powinieneś być pewnym, że kto tylko do twojéj krwi należy, to należy do mojego serca. Nasza znajomość nie od dziś się liczy, Panie Stefanie, i przyjaźń nie na biesiadach przy kieliszku się kleiła, ale tam, gdzie trochę goręcéj. Prosiemy siadać pana starościca; ty Joasiu baw gości, a my z panem Stefanem pomówimy trochę o sprawach ojczystych. Za pozwoleniem Waćpana panie starościcu.«

Wyszli obadwa do drugiéj komnaty, a panna Potocka się odezwała: »I jakże się panu starościcowi powiodła wczorajsza rycerka? Pan wojewodzic znikł z horyzontu dworskiego, a może nawet z Warszawy, bo go od wczoraj ani oko ludzkie nie widziało.« — »Przeklęta to rycerka, nabawiła mnie szczerego frasunku; miałem towarzyszyć paniom do Krakowa, a teraz muszę pokutować za tego przeklętego wojewodzica.« — Panna Lanckorońska się odezwała: »A teraz pan będziesz walczyć z wrogiem pierwéj jakeś myślał; wszak i to nie lada rzecz dla człowieka, co tak wzdycha za wojną jak pan.« — »I Tetera nie wróg wojnie, a jednak, jak się dowiedział o swojem przeznaczeniu, z radości ledwie nie oszalał. Musi to być szczęście nad szczęściami, być tam, gdzie są panie.« — »Panie starościcu, to francuzkie nauki; niech pan nie przestaje, być Polakiem, szczerym bez madrygałów« — chciałaby mową pokryć swój rumieniec. — Panna Potocka to dostrzegła: »Joasiu, kto wie, czy panna z Grosouvre niema słusznéj przyczyny do fochów;« — a potem obracając się do starościca: »Ale pan nie wiesz o tém, żeś podbił serce panny z Grosouvre?« — »Co mi po podbojach, których ja nie pragnę.« — »Otoż masz grzecznego obozowca. Francuz by powiedział: dziękuję pani za jéj dobroć, dziękuję za doniesienie o mojem szczęściu; a pan bez ogródki: ja niechcę panny z Grosouvre. To nie ładnie, ale to widzę, panowie wszyscy tacy, i pan Tetera dawniéj taki dobry, taki grzeczny, a teraz, jak pan powiadasz, szaleje, a nie pokazuje się nam. Dziwni ludzie ci obozowce polscy.« — »Prawda, że ten Tetera to dziwny. Szandarowski rotmistrz księcia Wiszniowieckiego powiada, że od niejakiegoś czasu zpanoszał, ucieka od ludzi, jedném słowem zdziczał jak kozak. Teraz jakiś niespokojny, rozradowany, a sam nie wie, czego chce.« — Spojrzał złośliwém okiem na obiedwie panny. — Panna Joanna spuściła w dół oczy — »Tęskni za rodzinną ziemią....« — »Tęsknił może za czem innem, a teraz rad i niespokojny z czego innego.« — W tém szabla brzękła w drugiéj komnacie. Panna Joanna zawołała: »Otoż i on!« — i panna Potocka powtórzyła: »Otoż on.«

Drzwi się otworzyły i ku wielkiemu podziwieniu weszli wojewoda Wileński z żoną i z córką: zaczęły się dygi i powitania. — Panna Joanna przystawia krzesła — »Proszę siedzieć pani wojewodziny, proszę siadać pana wojewody, Anusiu tu na tém krześle. Ojciec zaraz przyjdzie, z panem kasztelanem Kijowskim w drugiéj komnacie rozmawiają.« — »Moja duszko,« rzekła wojewodzina, my do was przyszłyśmy piechotą, bo już nasze powozy wypakowane.« — Wojewoda dodał: »Mam proźbę do pana hetmana.« — Panna Rozalia bawiła Sapieżankę, a starościc wąs poprawiał, wyloty pogładzał, czupurzył się; jeszcze ani słowa nie mówił, ale jak chart, kiedy widzi zająca, czeka zemknięcia smyczy, tak jego usta czekają chwili, żeby swoje słówko wtrącić do rozmowy

Na odgłos rozmowy gości, hetman polny wrócił z kasztelanem Kijowskim, i tu się zaczęły nowe powitania — »Jak się mi miewasz, panie Stanisławie?« — »Jak się masz, panie Pawle?« — »Dawne czasy, jakeśmy się widzieli.« — »Jeszcze pod Moskwą z królem Władysławem.« — »Ceremonia ceremonią a interes interesem; panie Stanisławie, masz obronny zamek w okolicach Krakowa, moja żona z moją córką zapraszają się w gości do twego zamku. U nas na Litwie Moskwa grasuje, bezpieczeństwa tam niemasz; a mnie uwijającemu się za służbą ojczyzny, trudnoby było bronić moich włości i schronienia moich niewiast; z synami jakoś sobie poradzę.« — »Wyśmienicie panie Pawle, niebo mi ciebie przysyła. Moją córkę, córkę mego szwagra, oddaję w opiekę twojéj żonie, i teraz spokojnie będę służył krajowi.« — Uściskali się obadwa, rozmowa zaczęła się żywa, nawet pan kasztelan Kijowski był wesoł, a starościc Zakroczymski gęsto ciął koperczaki do panien.

Nowi goście przybyli: to Wąsowicz i Tetera. Pan hetman powitał Wąsowicza, jak starego towarzysza, a Teterę ująwszy w objęcia, w głowę go całował, jak własne dziecię — »Mości wojewodo, przedstawiam tobie, pani wojewodzinie i pannie wojewodziance, pułkownika Teterę syna najlepszego przyjaciela mojego. Pan starosta Żytomirski już znajomy od kilku dni.« — Po pokłonach zaczęły się pocałowania rąk. Tetera z radością pohożą syna stepu, całował piękne rączki, a Wąsowicz z staropolskim anzacem głośno cmoktał i każdą ręką jak serwetą obcierał sobie wąsy.

Panna Potocka i panna Lanckorońska rade, że zobaczyły dawnego znajomego lat dziecinnych, tysiąc pytań mu zadawały; przemawiały do niego i słowami i oczyma i uśmiechem.

Staroście obrzędem dobrze wychowanego szlachcica, zbliżył się do wojewodzianki i bawił ją rozmową, a widać, że dobrze bawił, bo wojewodzianka ani spojrzała na resztę ludzi obecnych w komnacie.

Wąsowicz przypomniawszy wojewodzie, jak z Janem Piotrem Sapiehą, starostą Uświackim, biesiadowali w Moskiewszczyznie, Samozwańców wspierali, Carycę Marynę brali pod swoją opiekę, byle Moskwę chłostać i zadawać jéj cięgi po cięgach, usiadł na stronie i patrzył na Teterę.

Harda postawa kozaka; na wyniosłem czole pożeniły się godność wolnego człowieka, i szlachetna duma. Ciemno siwe oczy błyszczą odblaskiem gorących namiętności serca, ognistéj żądzy duszy; twarz śniada od słońca i wiatru; nos orli od czoła nieco spłaszczony przednia warga trochę podniesiona, ale przykryta ciemnym wąsikiem, podstrzyżonym i podgolonym; ciemna czupryna także podgolona. Rosły kibicią, ruchami zwinny i czupurny, nie był to ładny chłopiec, ani piękny człowiek; ale w jego twarzy i jego postawie była doskonała harmonia, zwiastunka niepospolitéj duszy. Był to człowiek, którego obraz lgnął do pamięci, i chował się w niéj na długie a długie lata. Strojny był w zaporozkie rodzinne szaty; sine szarawary fałdami spływały na czerwone buty; po białym atłasowym żupanie pas srebrnolity przewijany karmazynem, przy białym żupanie rubinowe guzy, i koszula spięta na rubinową różę upstrzoną brylantami; po wierzchu siny kontusz na wyloty, przy boku karabela w jaszczur oprawna, za pasem atagan i pistolety, w ręku barania czapka z czerwonym wierzchem spadającym na prawą stronę.

Panna Potocka spostrzegła, że Wąsowicz sam siedzi, zbliżyła się i siadła koło niego — »Panie starosto, pan, widzę, cicho siedzisz, jak w kościele w czasie kazania« — »Mościa panno podkomorzanko, był i ze mnie kiedyś zuch, na wszystko czas. Póki służyły lata, splatało się nie jednego bałamuta; niestało zębów, niema czem jeść, trzeba posiedzieć z daleka, i z daleka patrzeć na Waćpaństwa dobrodziejstwa amory.« — »Co też panu po głowie roi się z amorami.« — »Roi się albo nieroi. Ja szczwany lis, wiem, co to się święci. Wacpanna dobrodziejka wiesz, że jak furman wozić niemoże to kręci bicze.« — »To prawda, bo też pan swojemi domysłami kręcisz prawdziwy bicz z piasku; ale mniejsza oto, co oni tam robią. Panie starosto, zaczynaj do mnie palić strzeliste affekta, wszak ja nie straszydło, podobnam do ludzi?« — »O i bardzo podobna,« — podkręcił wąsa i czuprynę poprawił — »do stu katów, żeby to trzydzieści lat nazad odjąć, pokazałbym, że głodnemu psu niemówi się dwa razy weź; ale teraz człowiek na nic wart, starość nieradość! Wacpanna dobrodziejka jeśli niewiesz, to przynajmniéj słyszeć o tém musiałaś, że stary węgrzyn dobry, ale stary kochanek djabła wart.« — »A to pięknie, pan starosta mnie odkosza daje.« — »Moja Mościa panno, grzech śmiertelny zrobić zawód szlacheckiemu dziecku! trochę cierpliwości i za Waćpanną będą biegać kozaki i staroście, bo to słusznie powiedziano: każda Rózia znajdzie Józia.«

Tu Wojewoda zabrał się do wychodu, i pożegnania przerwały rozmowę. Pan hetman wyszedł za gośćmi aż do sieni, a staroście przez grzeczność odprowadzał aż do samego mieszkania wojewody.

Hetman polny wróciwszy rzekł: »Tetero, Waść pojedziesz z nami do zamku. Jutro przeprowadzać będziesz z swoim pułkiem królowę do Solca, tam pan chorąży koronny da straż ze swojego wojska, a Waść wrócisz wprost do Łowicza; tam nas zastaniesz.«

Niebawem nadjechała królewska kolasa. Hetman, kasztelan, dwie panny i Tetera pojechali do zamku; kasztelan siadając polecił Wąsowiczowi, aby ze starościcem udali się do obozu, gdzie on przybędzie dla zrobienia rozporządzeń. Wąsowicz sam zostawszy, rzecze do Żeromskiego: »Żeromsiu, coś to widzę u Waszeciów w Warszawie, w Kitajgrodzie, albo w Lanckoronie; na sucho nie jak gości przyjmujecie; to nie po hetmańsku.« — »Czém sobie pan starosta każe służyć? węgrzynem, czy miodem?« — »Czém chcesz, byle nie wodą; bo powiadam Waszeci, że woda dla gęsi, a wino i miód dla ludzi, nie dla bydła.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

List Trentowskiego do redaktora Tygodn.*)

Czcigodny ziomku!

Dziękuję Ci serdecznie za przesłaną mi część Twéj literackiéj pracy. — Żądasz o niéj mojego zdania? Przeczytałem dopiero 15 numerów, a więc o nich tylko sądzić mogę. —

*) Umieszczając list p. Trentowskiego powodowani jesteśmy powtórzyć to co już przy zdaniu pana Czaykowskiego o pismie naszém powiedzieliśmy t. j., że wszelkie pochwały Tygodnika uważamy tylko jako hołd oddany naszym współpracownikom, którzy czy nad Newą czy nad Sekwaną jednym duchem tchnąc. poznawszy po piśmie naszém coś więcéj jak

Wrażenie przecież, jakie na mnie wywarły, skreślam tu w kilku słowach. Cel Twego pisma jest piękny, szlachetny, święty i wyższy nad wszelkie pochwały. — — Ufny w pomoc nieba występujesz zpoświęceniem własném przeciw złemu, do dziś jeszcze na téj biednéj ziemi panującemu. O Tygodnika treści zaś, o ile go dotąd poznałem, myślę, jak następuje: Jest to Polska cała gwarząca z jéj wszystkiemi cnotami, ale niestety i z jéj wadami. Miłość ojczyzny, celująca, jak słońce śród systemu świata innych miłości, odznaczała Polaka od wieków; odznacza także i Twój Tygodnik. Pełno w nim promieni geniuszu, siły i wdzięku, jak w duszy Polaka. Jest to muza białowłosa z błękitném okiem i piersią pełną życia, ognia, wyższego dążenia. Staropolskiéj cnocie wznoszą się tu ołtarze i woń rozkoszna czarodziejskim obłokiem je otacza. Słodko tu odetchnąć, miło wypoczać. O, wiele mógłbym tu pochwał strumieniem rozlać, wiele artykułów rzucić w górę, jak rakietę świetną niebiańskim blaskiem, ale się wstrzymuję. Polak jest równie słaby względem pochwał, jak płci niewieściéj. — W moich pismach niemieckich mam za prawidło mówić tylko o najpiękniejszéj stronie narodu naszego, ilekroć się sposobność ku temu zdarza; naganę uważałbym tu za grzech śmiertelny. Ale pisząc po polsku, i do Polaka godzi się wyjątek zrobić. Czynię to nie w chęci złośliwéj krytykowania, ale jedynie z humoru. Jesień jest właśnie i tchnie u nas dżumą wroniéj gawędy, a list ma wiele przywilejów, jako dziecię przemijającéj chwili. Tygodnik Twój więc ma też same błędy, co lud nasz kochany. Sprzeczność jest tu uderzająca. Piorunujemy przeciw cudzoziemcom, a myślimy ich myślą! Że naród niemiecki jest zgrzybiały, że jest rozstrojonym kościotrupem, prawimy; a przecież recenzent Cieszkowskiego ani jednéj prawdziwie ojczystéj nie wyrzeka filozoficznéj myśli, lecz mówi po polsku językiem niemieckim, językiem Hegla; a przecież wszystko, co w Tygodniku głębszego, nosi na sobie piętno niemieckiego ducha. Artykuł »Filologia, filozofia i matymatyka« szczególniéj pod względem przestrzeni i czasu, winien całą swą świetność pomysłom Kanta. Myśl ta, że Niemcy rozsypują się w gruz, jak odwieczna karczma w staréj wsi Podlaskiéj, i że Polak, ów młodzieniec śród okrytego włosem siwym i zmarszczkami świata, zdolny jedynie dźwignąć piramidę przyszłéj oświaty; myśl ta, co z pielgrzymstwa naszego do kraju się przedarła, jest istotnie bardzo młodzieńcza, dla tego pełna własnéj miłości i zarozumienia. Niemcy nie są zgrzybiałe, i owszem młode, jędrne jak Polak, ale stojące bliżéj przed wierzejami przyszłości! Że literatura ich tak bogata, że mają dla każdego najlichszego przedmiotu ogromne biblioteki, że u nich tyle rozszczepanych i odosobnionych umiejętności, tyle filozoficznych systemów; to właśnie jest dowodem, że tu nie ślepa opinia tego lub owego wieku, nie tak zwany duch czasu, jak we Francyi i u nas, ale święta indywidualność tryumf swój znalazła i bóstwo w człowieku głosem samodzielnym, pojedyńczym słyszeć się daje. — Wykształcenie własnéj osobistości, że tak rzekę, jest przeznaczeniem każdego narodu i każdego pojedyńczego człowieka. Tylko papuga powtarza, co słyszy, co jéj mówią. W Niemczech też niema tyrannizującéj opinii, ale sąd własny, co głowa prawie samodzielny. Duch tutaj już się obudził na wszystkich punktach swego objawienia, i jest w czwałującym biegu, gdzieindziéj zaś śpi jeszcze, lub ma już ranne zachwycające marzenia. Od czasów wielkiéj, godnéj ogólnego błogosławienia reformacyi żyje Niemiec na jawie i czuwa nad ludzkością i leje światłem, jak głowa otoczona gloryą świętych. Czas średni nigdy niepowróci, bo się rozbije o mury w życie narodów weszłéj lub wchodzącéj filozofii niemieckiéj; żaden barbarzyński Tymur Chan niezdoła dla polityki własnéj, ludu nad którym mieczem panuje, w śruby swych przeklętych planów wkręcić, i utopić go w morzu martwém zacierającéj ciemności; bo słońce niemieckiéj oświaty przedrze się nawet po krawędziach śrub aż do dna ludzkiego Ja, tego tejonu w pierwiastku świętym człowieka, i dojdzie do głębi martwego morza i złoży tam jaje niebezpieczne dla obrzydliwych samodzierzców świata. Dowodem tego słowiańskie i inne narody. Polak ma w sobie wielką potęgę, o któréj zazwyczaj nic niewie; on może kiedyś podźwignie ciężki filar nowego świata, ale Niemiec mu pochodnią swą wyświeci do filaru tego tajemny gościniec. Bez téj pochodni świat dzisiajszy, mrokiem switu. — Lecz kończę o tém, ponieważ mógłby mię kto obwinić, że apologią niemieckiego ludu, którego wady całemu światu wiadome, chcę śpiewać, o czém nie myśliłem. Szło mi tu o prawdę tylko, i o sprawiedliwość.

Polak częścią z francuzko-sławiańskiéj lekkomyślności, częścią to i dla pokazania się kilku śmiałemi myślami, duchem niepospolitym, godzi chętnie i bez miłosierdzia bratobójczym sztyletem w serce swego ziomka, lubo tego późniéj, przez wrodzoną dobroć serca, zazwyczaj żałuje. To pokazuje się i w Tygodniku poznańskim. »Miklaszewski, najgłupszy z historycznych pisarzy!« Ach tak się wyrażać, to prawdziwie po katowsku! Czy duszę naszych tak rzadkich pisarzy rozdzierać, lub też ich i innych, mimo sumiennego wytykania wad, do pióra zachęcać, jest celem polskiéj krytyki, przeznaczeniem krytyki w ogóle? Gdyby ten, kto się tak o Miklaszewskim wyraził, znał tę zacną duszę bliżéj, gdyby rozważył, co to się znaczyło pisać historyą polską dla szkół w Polsce; o pewnieby umoczył pióro swe chętniéj w miodzie lipcowym, jak w żółci drapieżnego żbika! Cóż temu w reszcie mierność winna, że jest tylko miernością? Za jéj dobrą chęć dla kraju, zasługuje na karmelek z ojcowskiéj ręki. Mógłbym tu jeszcze niektóre artykuły laską Fauna mego pochwycić, nowe wyrazy, jak np. wszechnica, która o piwnicy i kuźnicy marzyć każe, pojaw, podścielisk i t. p. wychłostać, mógłbym o skłonności naszéj, nawet i w Tygodniku Twoim się przebijającéj, do krzykactwa i brawury, tudziesz o wielu innych rzeczach, które mi się mimowolnie nawijają rozprawiać, ale dam pokój, bo znam z doświadczenia, że Polak prędzéj zdrajcą ojczyzny okrzyczy, na sto wołowych smagańców wskaże, lub ukamienuje tego, co poważy się, prawdę mu powiedzieć, niż wejdzie w samego siebie; że on przez drażliwość natury, (nie przyrody, jak Tygodnik mówi, co prawdziwie po polsku pudenda znaczy[?]), że on znieść nie zdoła za granicą siedzącego i przeciw ludowi swemu z serca płynące pociski miotającego polskiego Boerne. — Tę parę humorystycznych zimnym wiatrem czarnego lasu oblanych uwag, niemierzę bynajmniéj, szanowny Ziomku, do Ciebie, bo wiem dobrze, co to jest, być redaktorem pisma peryodycznego w Polsce. — Tu mało rąk na wezgłowiu Apolina pracujących; tu wszystko wyborne być musi, co poczta przyniesie. Wielki Boże! Polak tyle zdolny, tak jenialny, pełen czucia i życia; on temu nie winien, ale los okropny wiszący, jak miecz Dyonizyusza nad jego głową!

Tygodnik Twój, ten doskonały obraz Polski, podoba mi się bardzo. Czytając go, przenoszę się na łono cierpiącego kraju, kłócę się z bracią szlachtą, walczę przeciw dawnym przesądom lub też przesadzonym i wybujałym pomysłom, dziwię się, iż śmieszny spór romantyków z klassykami jeszcze goreje, i widzę w końcu, że sam nieprzestałem być Polakiem, że mam też cnoty i wady, też próżność i słabość, co naród nasz i Twój kochany tygodnik literacki. Racz więc mi niewinne to klekotanie przebaczyć i po pewnym przeciągu czasu nową karawanę konfederaków Twoich przesłać; przyjmę je z wdzięcznością i położę, jak kwiat na oj-

---

dobre chęci, z braterskiem współuczuciem wznieśli pismo nasze do stopnia tego, że już nabyło europejskiéj sławy; i że dziś uważane jest jako organ Polski całéj; — powtarzamy więc tylko, co już na stronie 311. tomu pierwszego powiedzieliśmy iż: »nieprzypisujemy sobie w tém dla dobra powszechnego tak ważném dziele żadnéj innéj zasługi, jak tę: że nam się udało do każdéj narodowéj pracy gotowych ziomków zjednoczyć umysłowo i w jednéj ogólnéj sprawie połączyć.« — Nie nam pochwały, lecz im jedynie cześć i uwielbienie się należy. *Red. tyg. lit.*

czystéj ziemi uczknięty, co aż do mnie zawędrował, na mém sercu, żeby śród obcych niestracił polskiego czucia i ruchu. Niegniewaj się wreszcie przeciw jakim może usterkom mojéj polskiéj mowy; dziewięć lat bowiem nie czytałem i niepisałem nic po polsku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Pospieszamy z umieszczeniem prospektu na »DZIENNIK DOMOWY«, ciesząc się, iż z niego wnosić możemy, że pismo to odpowie oczekiwaniom. Zalecamy więc je z serca czytelnikom naszym, tém bardziéj, iż Dziennik domowy jest owocem starań kilku szanownych dam naszéj prowincyi, które wraz z panem *Kamieńskim* przeznaczyły dochód z pisma tego na cel godny Polek.

»Niewiele lat temu, a trudno było w Wielkopolsce nawet jednemu utrzymać się pismu peryodycznemu. Niewchodzimy, jakie tak nieszczęsnego na oświecenie zobojętnienia mogły być przyczyny; dość nam, że przeminęły te czasy. Dziś już tak powszechny objawił się dla peryodycznego piśmiennictwa udział czytelników, tak gorliwe ku téj pracy okazały się chęci, iż w tém ogólném zamiłowaniu języka, literatury i rzeczy ojczystych, poczuwa zachętę, kto podobnemu zawodowi literackiemu umyślił się poświęcić.

Podejmując więc redakcyą nowego dziennika, obok cztérech innych, tu już istniejących i upowszechnionych, miałem na widoku i owo zasmakowanie publiczności w pismach czasowych, i zakres przedmiotów, przez nie dotąd niewypełnionych.

Domowego, familijnego i towarzyskiego życia nieobjęło dotąd żadne z pism wspomnionych w poczet artykułów swoich, i brak ich zastępować musiały obce dzienniki, najwięcéj francuzkie, znacznym kosztem utrzymywane. A jednak tak ważnym i zajmującym jest sam przedmiot, iż warto go obszerniejszéj liczbie czytelników dostępnym uczynić. Nie tyle wzniosłą wprawdzie jest sfera domowego, co publicznego i naukowego życia, ale że nas najbliżéj otacza, że w jéj skład wchodzą najistotniejsze do pożycia ludzkiego żywioły, najwięcéj też nas obchodzić powinna, i dostatecznie poznana, bezpośrednio wpłynie na pomyślność naszą i kraju, tam zwłaszcza, gdzie cała przeszłość stoczyła się do ognisk rodzinnych, a przyszłość bić z nich poczyna wyższego oświecenia światłem.

Co dzień, w każdém familijném kole, rozwięzuje się kwestya żywotna, wpływająca mniéj więcéj na powodzenie i całą przyszłość rodziny. Niezawsze atoli znane nam są drogi i środki domowéj pomyślności, które podaje przydłuższa i umiejętna rzeczy rozwaga, a niepoznając się na jéj ważności, wybieramy się nie raz, z małym nader zapasem i to nadpsutych zasobów, w podróż tego życia i jak żeglarze bez stéru i żagli, puszczamy słabą łódkę na wolę nieprzyjaznych nam wiatrów.

Otóż potrzeba dokładnego zbadania wszelakich pytań w zakresie domowego, rodzinnego i towarzyskiego życia; rozważenia jego potrzeb, prac i zatrudnień; wykazania jego stron jędrnych lub skażonych i szukania sposobu utrzymania pierwszych, zaradzenia drugim.

Zabierając się do tego rodzaju pracy, niezapowiadamy nowych wielkich jakich odkryć, bezpośrednio prowadzących do celu; i owszém na to szczególniéj oglądać się będziemy, co już wieki przeszłe wyrobiły, co nowsza oświata u nas i u innych narodów wciąż wyświeca, stósując to do ojczystych ziemi naszéj potrzeb; bo w końcu prawidła szczęścia ludzkiego są zawsze i wszędzie te same i jedynie w zastósowaniu się wyróżniają. Ani też myślimy narzucać uwag naszych, jakby nieomylnych ustaw, według których działać i zachować się należy, lecz zamierzamy sobie, aby pismo to, wydobyte z potrzeb i postrzeżeń rzeczywistego życia, wpłynęło na nie naodwrót, tylko na rozleglejszą przestrzeń, aby było organem i punktem zebrania myśli dla wszystkich, którym ten zakres badań nie jest obojętnym; dla jednych, aby własne w téj mierze doświadczenia i uwagi na publiczny, ogólniejszy podawali pożytek; dla drugich, aby przez tamtych z umysłowéj nieczynności ocknieni, nad własném zastanowili się dobrem.

Dziennik domowy, będzie więc niejako pamiętnikiem zbierającym wszystkie postrzeżenia w materyi rzeczy domowych, w kraju i za granicą. Mieścić będzie artykuły w rozlicznych kwestyach familijnego i towarzyskiego pożycia; zdejmować z niego obrazy niebędące atoli ani satyrą, ani paszkwilem; rozbierać wielorakie życia spółecznego i domowego stósunki. O wychowaniu, jako najważniejszéj założonego przedmiotu części, z wyłączeniem czystéj naukowéj pedagogiki, dostarczać będzie rozpraw i uwag. Wejdzie w liczne i wielorakie zatrudnienia domowe i gospodarskie, poda ku temu nowe lub przepomniane środki, wynalazki i odkrycia. Niepominie i sztuk pięknych, tak dzielnie na ukształcenie serca i dobrego smaku wpływających i donosić będzie o wszystkiém, co w tym względzie zajdzie i pojawi się ciekawego. Nareszcie oryginalne powieści i poezye, tudzież artykuł o modach należeć mają do zakresu artykułów pisma naszego.

Od wielostronnego rzeczy uważania i przedstawienia, zależy jak wszędzie, tak i w obecnym dzienniku i dokładność przedmiotu i powab dla czytających. Wzywamy przeto do współpracownictwa znakomitych pisarzy naszych, tak gorliwie talentami swojemi już inne peryodyczne pisma wspierających, aby i przedsięwzięcie nasze zechcieli zasilać płodami prac swoich. Do płci pięknéj szczególniéj odzywamy się, co będąc pożycia spółecznego i domowego słodyczą, częstokroć przez samo wrodzone uczucie, najlepsze w tylostronném powołaniu swojém obiera drogi i umie ocenić najdelikatniejsze odcienia towarzyskich stósunków.

Dziennika domowego wychodzić będzie co tydzień jeden arkusz, w formacie i na papierze takim, jak Tygodnik literacki.

Do każdego numeru załączoną zostanie rycina strojów w kolorach; 52 numerów stanowić będzie tom jeden, do którego przydany zostanie w końcu roku rejestr artykułów i okładka.

Przedpłat na rok cały 8 talarów, na pół roku 4 talary wynosząca, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Poznań, dnia 29. Listopada 1839. *Napoleon Kamieński.*«

Doniesienie muzyczne.

W tych dniach wyszły i są w wszystkich krajowych księgarniach do nabycia:

Piosnki polskie,
z muzyką *A. Woykowskiego.*
Zeszyt pierwszy;

Zeszyt ten zawiera trzy piosnki: 1) Rozłączenie, poezya Aug. B.; 2) Żegluga, poezya L. Siemieńskiego; i 3) Drzym sobie duszo, przez Edmunda Wasilewskiego. — Drugi zeszyt wyjdzie w końcu przyszłego miesiąca.

Oświadczenie.

Redakcya Tygodnika literackiego w celu zapobieżenia fałszywym pogłoskom, widzi się spowodowaną do oświadczenia, iż składa się i będzie się i nadal składać jedynie tylko z podpisanego redaktora A. Woykowskiego. ***Redakcya Tygodnika liter.*** (A. Woykowski.)

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*